

**PRZYJACIELE
ZWIERZĄT**

Anton Marklund

PRZYJACIELE ZWIERZĄT

Przekład
Natalia Pecyna

CZW-
ARTA
STRO-
NA

Tytuł oryginału: *Djurvänner*

DJURVÄNNER © Anton Marklund 2011

First published by Wahlström & Widstrand

Published by arrangement with Nordin Agency AB, Sweden

Copyright © for the Polish translation

by Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2015

Copyright © by Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2015

Redakcja: Magdalena Owczarzak

Korekta: Malwina Błażejczak

Projekt okładki: Agnieszka Pasierska

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Stanisław Tuchołka

ISBN 978-83-7976-254-5

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

fax: 61 853-80-75

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

WSTĘP

Johannes

Szła z balkonikiem. Bardzo wolno. Staruszki tak robią. Skręciła w boczną ulicę. Taką, gdzie wciąż leżał wczorajszy śnieg. Śmialiśmy się, kiedy się przewróciła i uderzyła głową o ziemię. Śmiesznie to wyglądało. Śmialiśmy się, aż zrozumieliśmy, że nie może się już podnieść. Wtedy przestaliśmy się śmiać, bo wtedy to już nie było śmieszne.

Potem zabraliśmy jej torebkę.

Miałem nieść jej torebkę, kiedy stamtąd poszliśmy. Była ze skóry. Miałem na dłoniach krew staruszki, ale wytarłem się w torebkę. Na materiale zostały plamy jej krwi.

Przez pierwsze ulice po prostu szybko szliśmy, później zaczęliśmy biec.

Myślę, że powinniśmy zrobić na odwrót.

To nie do końca było tak, że obrabowaliśmy staruszkę. Tak też powiedziałem mamie.

– Ta babcia nie potrzebowała już torebki – powiedziałem. – Sama się przewróciła, a wtedy można było zrobić to, co my. W zasadzie nawet *dobrze*, że tak zrobiliśmy.

Zabraliśmy co prawda banknoty z portmonetki, która była w torebce, zanim wyrzuciliśmy ją do strumienia. Tego właściwie nie wolno. Ale to było raczej odzyskiwanie niż rabowanie. *Nigdy nie powinno się pozwalać na marnowanie rzeczy*, jak mawia tata.

Staruszka miała w portmonetce siedem banknotów po tysiąc koron. *Staruszki zawsze mają dużo pieniędzy w torebce*, powiedział Niklas, kiedy wyciągał banknoty. Ja dostałem jeden z tysięczkoronowych banknotów. Pozostali dostali po dwa. Ale mnie nie przeszkadzało, że oni dostali więcej niż ja. Było tylko siedem banknotów, więc nie wszyscy mogli dostać po dwa.

Wiedziałem, że mamie nie spodoba się to, co zrobiłem, więc wziąłem mój banknot do domu i dałem go jej. Pomyslałem, że bądź co bądź może trochę się ucieszy.

Ale mama nie ucieszyła się z banknotu.

Zaczęła płakać.

Rozdział 1

KARTECZKI RADOŚCI



Mona

Czasami myślę o życiu jakby to był film. W pewien sposób rzeczy stają się wtedy łatwiejsze do zrozumienia. Albo może nie tyle do zrozumienia, ile łatwiejsze do zaakceptowania.

Jeśli postrzega się to, co się dzieje, jako jedyną istniejącą oczywistość – jedyne, co jest dane – nieuchronnie będzie się przepełnionym wielką pustką.

Albo goryczą. To są jedyne możliwości, jakie można wybrać. Wielu wybiera gorycz, choć ta trawi od środka. Ale to przynajmniej jest jakieś uczucie.

Mój mąż wybrał gorycz, wybrał bycie trawionym, już kiedy Johannes był mały i było już jasne, że nie jest taki jak inni. Lennart wybrał widzenie rzeczy takimi, jakie *powinny* być, a nie takimi, jakie są.

Wydaje mi się, że wybrał źle.

Bo jeśli widzi się życie jak film, to tak już musi być. W filmie przeciwności losu mają znaczenie. To ten ból, którego nie można pojąć, prowadzi naprzód, do mejmy nadzieję szczęśliwego zakończenia.



W tym filmie chłopiec, albo raczej młodzieniec, siedzi ze swoją mamą na tylnym siedzeniu dużego, srebrnego samochodu. Mama ma oczy czerwone od płaczu i jest ubrana w czarny, stary płaszcz, którego się trochę wstydzi.

Powinnam była się ładnie ubrać, myśli. Tak jak on. Pierwsze wrażenie jest ważne.

Chłopiec ma na sobie egzaminacyjny garnitur. Kiedy mężczyźni ze srebrnego samochodu przyjechali, żeby go zabrać, siedział już na werandzie z drewnianym pudełkiem na kolanach i czekał, mimo że było zimno i była późna jesień. Jak tylko się dowiedział, że mają przyjść, poszedł na górę do swojego pokoju, założył garnitur, wziął pudełko, wyszedł na zewnątrz i usiadł. Nie podniósł wzroku, gdy przyjechali, przywitał się dopiero wtedy, kiedy jego ojciec powiedział mu, że ma to zrobić.

– Uściśnij rękę – mruknął Lennart ze swojego miejsca w drzwiach. Stał w połowie drogi do przedpokoju, jakby próbował ukryć się tam w ciemności. On też nie podnosił wzroku.

Tylko jeden z mężczyzn mówił. Drugi stał przy samochodzie, zastygł pochylony w kierunku maski, z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Był tam chyba tylko na wypadek, gdyby Johannes stał się agresywny.

– A więc to ty jesteś Johannes, jak sądzę – powiedział ten pierwszy niestosownie wesołym głosem, kiedy do niego podchodził.

– Zobaczmy, co możemy dla ciebie zrobić – ciągnął i uściśnął rękę chłopca, a jednocześnie próbował spojrzeć mi w oczy. Jego spojrzenie zdradzało, że on za swojego towarzysza wybrał pustkę.

– Jesteś duży jak na siedemnastolatka – paplał dalej. – Pewnie jesteś cholernie dobry w noszeniu ciężkich rzeczy?

Dziwnie to było powiedziane. Nawet Johannes to zauważył, więc nic nie odpowiedział. Bo i co miał powiedzieć?

Tak?

Johannes wziął tylko swoje pudełko i podszedł do samochodu. Wiedział, po co przyjechali.



W pudełku leżał klucz do jego obrony. Małe, zniszczone karteczki z pociętej kartki A4, które przemawiają za jego niewinnością. Może założył garnitur, bo zrozumiał, że od teraz życie będzie jak rozprawa sądowa. Dokądkolwiek

potem nie pójdzie – dokądkolwiek *my* nie pójdziemy – do sklepu Ica, biblioteki, instytucji opieki nad młodzieżą, każda czynność będzie jeszcze jedną rzeczą, za jaką będziemy osądzeni w oczach innych.

Zawsze można osądzać. Wynik zależy tylko od tego, jaką stronę się wybierze. A zawsze można spojrzeć pod złym kątem.

Nie można się jednak skarżyć, bo samemu robi się podobnie; sto razy każdego dnia wybiera się, czy się kogoś osądzi, czy nie. Nie zauważa się tego. Tylko ci, którzy są osądzeni, dostrzegają, że zawsze, *zawsze*, jest więcej niż jeden sposób patrzenia na sprawę.

Mężczyźni w srebrnym samochodzie nie rozumieją karteczek Johanna. Poproszą go o nie, przeczytają je, ale ich nie rozumieją. Nie mogą tego dla niego zrobić.



Siedzi i patrzy przez szybę samochodu. Pas bezpieczeństwa wisi mu luźno nad talią. Pochyliam się i go poprawiam.

Jest duży. Ostatnie zaznaczenie ołówkiem po wewnętrznej stronie drzwi od spiżarni jest na wysokości 1,85 metra.

Siedemnaście kresek.

Siedemnaście rocznych słoików.

Ostatnio musiałam stanąć na krześle, żeby móc go zmierzyć. Wyglądał na całkiem dumnego, kiedy powiedziałam, że teraz jest wyższy od swojego ojca. Lennart ma 1,84 metra; widać to na jeszcze jednej delikatnej kresce, którą narysowałam, kiedy zaczynałam mierzenie. Sprzeciwiał się, ale w końcu się ustawił. Moja kreska jest dużo niżej niż kreski ich obu.

Johannes przekroczył ją już dawno.

Ale Johannes jest nie tylko wysoki, jest też duży. Waży ponad 90 kilo. Niewiele z tego to mięśnie, po jego ruchach widać, że nie lubi sportu, wygląda tak, jakby jego ramiona i nogi nie nadały. Widzi poruszającą się piłkę, ale nie umie przewidzieć jej trajektorii. Nie potrafi zrozumieć, że najlepsza droga do bramki nie zawsze jest prosta.

Jego waga to przede wszystkim tylko dziecięca pulchność, z której nie wyrósł, tak jakby jego ciało chciało podkreślić, że jeszcze jest dzieckiem, mimo że numer osobowy, widniejący w dokumentach mężczyzn, którzy po niego przyjechali, mówi coś innego.

Zawsze ma krótko obcięte włosy. Lennart strzyże go maszynką każdej niedzieli. Robi to już od wielu lat. W każdym razie przez ostatnie pięć kresk.

Johannesowi nie pasują tak krótkie włosy. Zabierają jego twarzy miły wyraz. Tak jakby patrząc na jego ogołoną głowę, ludzie spodziewali się, że będzie zły, a on się taki staje, bo tak się go postrzega.

Ale on nie przejmuje się wyglądem. Nigdy się na tym nie znał. Ubrania. Dziewczyny. Inni ludzie. Stało się już rutyną, że stoi z ojcem w łazience i z ręcznikiem na ramionach wsłuchuje się w monotonne brzęczenie maszynki do strzyżenia. Co niedzielę prosi Lennarta, by go ostrzygł. Lennart wie, co o tym sędzę, ale nie potrafi mu odmówić. Lennart robi dla swojego syna, co potrafi. Nawet jeśli nie zawsze to widać, uwielbia Johannes, tak samo jak Johannes uwielbia jego. Lennart wie, że rutyna jest dla Johannes, ważniejsza niż rezultat.

Być może ma rację.

Lennart

Między miejscowościami Boliden i Strömfors płynie strumień. Też mi strumień, to raczej jest jakiś pieprzony rów. Tylko jest nazywany strumieniem. Strumień Klocker. Tak jakby próbowano sprawić, że będzie wydawał się bardziej niezwykły niż tak naprawdę jest. Ale jakby nazwano go *rzeką* Klocker, ludzie chyba odkryliby bluff.

Tylko w jednym miejscu jest całkiem szeroki i to tam zbudowali most. Typowa socjaldemokratyczna Szwecja. Prawdopodobnie postawili ten most właśnie tam, żeby mógł być duży i kosztować dużo pieniędzy z podatków. Ale wcale taki nie jest, jest cholernie wąski.

Pewnego razu, kiedy byłem młody i chodziłem do podstawówki, pobieraliśmy próbki wody spod mostu. Nie pamiętam żadnej lekcji biologii, tylko akurat tę; jak schodziliśmy w dół stromeego zbocza. Była późna jesień,

tak jak teraz, woda była tak zimna, że aż ręce drętwiały, kiedy kopaliśmy dno plastikowymi pojemnikami, żeby zebrać glinę, którą zabraliśmy z powrotem do szkoły do *analizy*.

Kopaliśmy w poszukiwaniu małych zwierząt i dżdżownic, mierzyliśmy kwasowość wody papierkami lakmusowymi. Nauczyciel Hans Johansson powiedział, że woda w strumieniu Klocker była niesamowicie kwaśna, prawie jak kwas. Albo coca-cola.

Pan Johansson był niski, miał przedziałek na boku i hitlerowski wąsik. Sam zdecydował, że zostanie nauczycielem. To już chyba dużo o nim świadczy. Powiedział, że woda była kwaśna jak coca-cola, żebyśmy my, młodzi chłopcy, mieli wyrzuty sumienia, że czasami, kiedy było nas na to stać, kupowaliśmy sobie na przerwach napoje gazowane.

Nie znaleźliśmy żadnych roślin. Ani żadnych zwierząt. Tylko małą stonogę, którą Hans zabił formaliną, gdy stwierdził, że to dziwne, że się tam znalazła.

Pamiętam, jak podniósł szklany stoik tak, żebyśmy mogli zobaczyć, jak stonoga się miota. Kiedy tak ją obserwowaliśmy, powiedział, że to dziwne, że cokolwiek w ogóle mogło żyć w tym środowisku. Że woda była tak kwaśna, iż powoli wyzerowała wszystko, co się tam znalazło, poza tą stonogą. Jej w jakiś przedziwny sposób się udało. Podrapał się po wąsach. Najprawdopodobniej to kopalnia Boliden stała za tą kwasowością, jak stwierdził.

Później wlał do słoika formalinę i mogliśmy patrzeć, jak stonoga zastyga. Następnie postawił słoik na półce w sali od biologii, obok kosza z wysuszonym mchem.



Myszę, że trzeba było zostawić torebkę w strumieniu, żeby została wyżarta i zniknęła. Wtedy byłoby tak, jak gdyby Johannes nigdy jej nie zabrał.

Mona

Pudełko leży na jego kolanach. Trzyma je dwoma rękami, tak jakby zawierało coś drogiego, coś wartego ochrony.

To jego dziadek dał mu pudełko, a ówcześni koledzy z klasy przygotowali zawartość, kiedy byli w szóstej klasie.

Pół dziesięciolecia minęło od tego czasu, ale on nadal ma te karteczki.



Kiedy byli młodszy, opiekowałam się większością kolegów z klasy Johannaesa w żółtej świetlicy, która nazywała się Blomman. Pamiętam ich imiona, ich głosy i myśli. Jacy byli jako trzynastoletnie dzieci.

Takimi już dla mnie zostali. Dziećmi. Dla mnie dalej są mali i przychodzą do Blomman każdego popołudnia zjeść kanapkę z serem, zjeść zupę z owoców dzikiej róży czy pokłócić się o grę w hokeja. Na to ich skazałam, kiedy złożyłam wymówienie, krótko po tej historii z karteczkami.

Robię tak z wszystkimi miejscami, które opuszczam: zamykam je w kapsule z lodu i zmuszam tam ludzi, by raz za razem podążali swoimi torami, wysyłam ich do równoległego świata, który nie podlega upływowi czasu.

Dzieci dalej tam są, jedzą zupę z dzikiej róży, piszą karteczki, nie mogą dorosnąć i ponieść odpowiedzialności.

Nie potrafię stwierdzić, co o tym sędzę.

Wiem tylko, że nie powinnam o tym tak dużo myśleć.



Pani Lindman nazwała to karteczkami radości. Gdy Johannes jest smutny, wyciąga pudełko i godzinami czyta je i przegląda. Nie zna już tych, którzy je napisali. Nawet ja ich nie znam. Ale pamięta to jako pozytywne wydarzenie. Jest szczęśliwy.

Jak można wspominać to z radością?

Gdzie on ukrywa ten gniew, który powinien czuć?

Czasami ciężar tego, że nie można myśleć tak, jak się powinno, jest darem.



Stworzyłam film o tym, co się stało. Zebrałam wszystko, co zostało opowiedziane, wszystko, co pamiętam i co czułam, i w ten sposób odtworzyłam przebieg zdarzeń. Film istnieje tylko wewnątrz mnie, ale mogę odtwarzać go, kiedy tylko zechcę. Czasami budzę się w środku nocy i pozwalam mu przelatywać przed zamkniętymi oczami.

Większość obrazów jest zaczerpnięta z opowieści kolegów z klasy Johannaesa, kiedy przyszli do Blomman zaraz po tym, jak to się stało. Nie myśleli o tym, że to ja jestem mamą Johannaesa. Po prostu stali tam i opowiadali swoim młodszym kolegom, bez upiększania rzeczywistości, bez uporządkowywania, tak jak zrobiła to pani Lindman, kiedy potem zadzwoniła. Ludzie korygują prawdę tak, by lepiej im pasowała, kiedy mają coś do wygrania lub stracenia. Dzieci nie miały.



Tworzenie filmu z przebiegu życia jest proste. Jedyne, co trzeba robić, to przypominać sobie, jednocześnie pozwalając, by w głowie pojawił się głos narratora. Takiego, co wszystko wie, wszystko widzi i wskazuje na to, co ważne. W ten sposób nawet małe, nierzucające się w oczy rzeczy otrzymują taki wymiar, jaki naprawdę

mają. Jeśli się nie było na miejscu, wystarczy tylko zamknąć oczy i pozwolić im zobaczyć to, co i tak się wie i co można przywołać.

Jeśli się chce, można sobie także wymyślić odpowiednią muzykę w tle. Właściwa muzyka tworzy właściwy nastrój. Madonna, którą grają teraz w radiu w srebrnym samochodzie, zupełnie nie pasuje. Do karteczek radości potrzebujemy czegoś innego. Czegoś, co przemawia bez słów.

Może samą wiolonczelę. Albo razem z subtelnym fortepianem? Raczej rzewnie, tak żeby było wiadomo, że trzeba być smutnym, bo tak zaczyna się film. Ale też harmonijnie, by można było odczuć, że pojawi się szczęśliwe zakończenie. Filmy je mają. Długo po scenach z karteczkami radości stanie się coś innego, coś, co uszczęśliwi. Tak musi być.

Albo jednak coś zupełnie innego niż wiolonczela. *Hallelujah* w wersji Jeffa Buckleya? Lubię to. Albo *När det blåser på månen* zespołu Kent. To lubi Johannes. Oba utwory nadają ton, coś znaczą. To właśnie ma robić muzyka.



Widzę swój film. On siedzi w ich klasie.

Klasa ma wysoki sufit. Na dłuższej ścianie są duże okna z opuszczonymi żaluzjami, zamiast światła

słonecznego sączy się zimne światło świetlówek. Nad tablicą wisi alfabet napisany dużymi, czerwonymi literami. A na jednej ławce czeka tacka z kubeczkami z fluorem.

Ten ostatni obraz pochodzi z mojej własnej podstawówki, ale to nie gra żadnej roli. Wspomnienia nigdy nie są idealne.

Uczniowie siedzą dwójkami w zielonych ławkach i piszą z rozbawieniem. Na każdej ławce jest kolorowy obrazek narysowany kredą, z imieniem ucznia z przodu.

Johannes siedzi razem z jakąś dziewczynką. Widać, że zostali tak usadzeni wbrew jej woli, bo cały czas jest od niego odwrócona i rozmawia z kolegą po drugiej stronie przejścia.

Johannes jest trochę większy niż inne dzieci. Myślałam o tym za każdym razem, kiedy przychodziłam do klasy. Albo raczej: *przeszkadzało* mi to. Że poniekąd nie pasował tam nawet ciałem. Inne różnice można jakoś zamuflować na różne sposoby, ale różnic w wyglądzie nie można ukryć. One tam są, nawet jeśli siedzi się cicho.

Nauczycielka nazywa się Maria Lindman i mieszka w Strömfors. Gdyby trzeba było odgadnąć jej wiek, można byłoby dać jej koło pięćdziesiątki. Ale ma w swojej twarzy coś dziecięcego, co podpowiada, że jest młodsza. Może ma tylko trzydzieści pięć lat.

Zmylić może to, że ubiera się jak starsza osoba. Kombinezony i apaszki. Od razu widać, że *próbuje* ubierać się dobrze, a to nie tak ma być. Ubrania mają po prostu być na swoim miejscu i dobrze leżeć.

Przechadza się po klasie i nadzoruje pracę dzieci z błogim uśmiechem. Jest w nim coś z samozadowolenia. Widać, że uważa, że to, co teraz robi, jest dobre.

Zatrzymuje się przy jednej dziewczynce i przez jej ramię spogląda na to, co pisze.

– Dobrze! – wykrzykuje.

Potem zwraca się do innej dziewczynki w głębi klasy.

– Ojej, Linneo, czy to prawda? Naprawdę potrafisz grać na gitarze?

Dzieci uciszają ją, a pani Lindman zasłania dłonią usta.

– No tak, nie możemy zawczasu opowiadać, co napisaliście – mówi. – Wtedy zepsujemy całe napięcie związane z oczekiwaniem. To, co znajdzie się na karteczkach radości, ma być niespodzianką!

Stoi jednak w tym samym miejscu i zerka przez ramię dziewczynki. Potem zwraca się do chłopca.

– Wiesz co, David, nie chcę nic mówić, ale wydaje mi się, że będziesz zadowolony z tej karteczki!

Dziewczynka i David rumienią się. Inne dzieci zaczynają szemrać, ale pani Lindman je ucisza. Wydaje się, że nie rozumie. Albo może widzi w tym szansę, by nauczyć ich sposobu myślenia dorosłych.

– Celem tych karteczek radości jest – mówi – żebyście mogli bez zażenowania pochwalić siebie nawzajem.

Jeszcze raz rozgląda się po klasie.

– Czy nie sądzicie, że Davidowi bardzo fajnie będzie usłyszeć, że ma ładne oczy? – mówi. – Założenie jest przecież takie, żebyście odkrywali rzeczy, które sprawiają, że zaczniecie bardziej lubić siebie samych.

Zatrzymuje się na chwilę i pozwala, żeby jej słowa wybrzmiały, zanim przejdzie dalej.

Raz po raz zatrzymuje się przy różnych dzieciach i komentuje motywująco.

W końcu dochodzi do Johannesesa.

– Dobrze, Johannes, napisałeś już prawie tyle samo karteczek, co inni.

Johannes nie zauważa takich komentarzy. Zauważają je jednak pozostałe dzieci.

Pochyla się ku niemu.

– Co takiego napisałeś?

Johannes pokazuje karteczki.

– Napisałeś, że wszyscy są dobrzy w piłkę nożną?

– Nie, dziewczyny nie.

Pani Lindman prostuje plecy. Natychmiast zmienia się jej głos. Ciepło niemalże znika. Wiem, jak zwraca się do Johannesesa. Brzmi spokojnie. Pedagogicznie.

– Powinno się spróbować trochę urozmaicać – mówi.

– Dobrze by też było popracować trochę nad ortografią.

Johannes nie mówi ani słowa. Pani Lindman znów patrzy na karteczkę.

Mårten är bra på fotboll, jest tam napisane. *Mårten* jest dobry w piłce nożnej.

– Ile *l* jest w słowie *fotboll*, Johannes?

Johannes rozgląda się dookoła, a pozostałe dzieci chichoczą. Patrzy na karteczkę jeszcze raz i dopisuje jedno *l*.

Fotboll.

– Dobrze, Johannes. A ile *t*?

Johannes waha się.

– No dalej, Johannes. Wiem, że to potrafisz. To przecież bardzo łatwe.

Wypowiada to słowo, którego nie można mówić komuś pod presją.

Tutaj film jakby się zatrzymuje. Jakby taśma zaczynała się zacinać, a rzeczywistość się rozdzielała. Próbuję zobaczyć jego twarz, ale nie mogę. Od razu staje się jasne, że mnie tam nie było. Leżę i przetwarzam wspomnienie, które jest wyraźne, ale nie jest moje.

Należy do Johanna. Nieważne, jak bardzo na mnie oddziałuje, ale wciąż nie jest moje.

Johannes reaguje na presję na dwa różne sposoby i znikąd nie mogę dostać wskazówki, który z nich wybierze.

Czasami tylko się wyłącza, kiedy ktoś próbuje go pouczyć. Czasami nie potrafi najprostszycch rzeczy.

Chcę wierzyć, że wybrał to drugie. Że coś pojawia się w jego spojrzeniu. Jakiś cichy protest.

Dopisuje trzecie *t*.

Fotttboll.

– O, Johannes, teraz to już zgadujesz! – wykrzykuje pani Lindman tak, że wszyscy mogą usłyszeć. – Nie pamiętasz, co mówiliśmy? Nigdy... *trzy* podobne litery z rzędu.

Johannes kiwa głową i spuszcza wzrok. Pani Lindman wzdycha i prostuje się.

– Dobrze – mówi, zanim odchodzi.

Nie wiadomo, do czego ma się to odnosić.

Potem zwraca się do całej klasy:

– Oj, jak już późno! Kończycie już powoli, tak żebyśmy mogli rozdać karteczki po przerwie? Czy jeszcze został wam ktoś, dla kogo macie napisać karteczkę?

– Napisałam dla wszystkich poza Johannesem – mówi jakaś dziewczynka z dumą.

– Ja też! – dopowiada ktoś inny. – Ale nie przychodzi mi do głowy nic dobrego, co można napisać o Johannesie. Bardzo długo się zastanawiałem.

Robi się szum. Zbiór dziecięcych głosów nie do odróżnienia, wszystkie mówiące, że nie potrafiły wymyślić niczego, co można byłoby napisać o Johannesie. Tak to wygląda w filmie w mojej głowie, jak było w rzeczywistości?

Może to tylko kilkoro dzieci z klasy powiedziało coś na głos? Ile ich było? Ile głosów trzeba było, żeby przesłanie dotarło?



Widzę, jak siedzi tam w klasie. Spuścił głowę, ale nie patrzy na karteczki, które napisał.

Siedzi tak długo. Wokół niego trajkoczą inne dzieci. Ruszają się, rozmawiają ze sobą, wrzeszczą i krzyczą, ale Johannes, ten, który się odróżnia, siedzi spokojnie w swojej ławce.

W pewnym momencie podnosi się i wybiega z klasy.



Wybiega bez kurtki i bez butów. Inni widzą, jak przebiega na ukos przez deszczowe szkolne podwórze.

Tu scena się kończy.

Mona

Pamięta się tyle rzeczy, których znaczenia nie można ocenić. O ile w ogóle cokolwiek znaczą.

Prawdopodobnie tak.

Myślę coraz więcej o tym, że wszystko jest ze sobą związane. Że wszystko jest spowite nicią, którą śledzi się jak wątek, a pewnego dnia okazuje się, że trzyma się ją we własnej ręce. A kiedy ostrożnie się za nią pociągnie, rzeczy nagle układają się we właściwym porządku, można iść wzdłuż tych linii, patrzeć i porównywać. Nagle staje się jasne, w którym miejscu wszystko poszło źle, gdzie nic się splątała, i wtedy wiadomo, co trzeba zrobić, żeby wszystko było dobrze.

Tak myślę.

Przeraża mnie następna myśl, która przychodzi mi do głowy. Że idzie się wzdłuż nich i staje się jasne, co trzeba było zrobić inaczej.

Ale wtedy, w chwili, gdy zdajemy sobie z tego sprawę, i tak już nic nie można zrobić.

Rozdział 2

W GŁĘBI ŁĄDU



Mona

Mieszkamy w Strömfors pod Boliden. A właściwie także pod Strömfors, bo nasz dom stoi trochę na uboczu. A zatem, nie mieszkamy nawet w miasteczku.

Nawet nie w miasteczku w głębi łądu na północy Västerbotten*.

To tutaj trafiłam.

Zastanawiam się, co w młodości powiedziałabym, gdyby ktoś oświadczył mi, że opuszczę Malmö, żeby pójść na zwolnienie lekarskie do lasu sosnowego?

Określenie mojego nowego domu brzmi w mediach czasem jak przekleństwo, w każdym razie, jeśli się ktoś dobrze wsłucha: *w głębi łądu na północy Västerbotten*, miejsce, gdzie nic nie przydarza się bezrobotnym, żeniącym się między sobą rodzinom na skuterach śnieżnych.

* Region w północnej części Szwecji, nad Zatoką Botnicką (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

Ale to chyba tacy jesteśmy. Prenumerujemy „Norran”*, lokalną gazetę, którą mieszkańcy Avabäck czytują w książkach Torgny’ego Lindgrena**. A zimą Johannes jeździ tam i z powrotem po polach na opływowym skuterze Lennarta, który kosztował kilka razy więcej niż nasz samochód. Nie wiem, co o tym sędzę. Wiem tylko, że jest tu jeszcze coś innego. Coś, czego się nie lubi w samym brzmieniu tych słów, ale coś, od czego nie można się uwolnić, jeśli się już to przeżyło.

Zimą, kiedy wychodzę rano po „Norran”, jedyne, co widzę, to śnieg i sosny. Latem śnieg zastępują łądygi kartofli i trawnik, ale wszystko jest równie... nietknięte. To na tym polega wielkość. Żadna dusza nie zakłóca cudzych myśli. Jedynymi śladami ludzkości, jakie widzę, są ślady opon samochodu pocztowego. Zawraca na naszym podjeździe, bo przy tej drodze nikt więcej za nami nie mieszka.

Czasami rano widzę wiewiórki po drugiej stronie drogi. Kiedy indziej się chowają, ale rano z jakiegoś powodu tam są. Gonią się w górę i w dół po pniach sosen, jakby tańczyły jakiś skomplikowany taniec. Kiedy ostrożnie otwieram drzwi, nie słyszą, jak idę, i nie przestają tańczyć.

* „Norran”, dawn. „Norra Västerbotten”, liberalna, wolnomysłna gazeta, publikowana w północnej części regionu Västerbotten.

** Torgny Lindgren – szwedzki pisarz pochodzący z Västerbotten, autor książki *Miód trzmieli*.